Rok I. Kraków, dnia 15 Sierpnia 1883. Nr. 15 i 16.

Przedpłata wynosi:
dla Publiczności:
w miejscu:
rocznie. . . złr. 4.50
półrocznie . „ 2.25
z przesyłką pocztową:
rocznie złr. 5.—
„ mrk. 9.—
„ fr. 11.—
półrocznie złr. 2.50
„ mrk. 4.50
„ fr. 5.50

PRZYSZŁOŚĆ

Organ poświęcony młodzieży polskiej.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.
Adres Redakcyi i Administracyi: Kraków, Ul. Św. Anny l. 5. (naprzeciw Coll. Phisicum).
Ajencya: u p. Kuklińskiego w hali Sukiennic l. 5. — we Lwowie: w Księgarni Polskiej, plac Halicki. — Numer pojedynczy 20 ct.

Przedpłata wynosi:
dla ucz. się młodzieży:
w miejscu:
rocznie. . . złr. 2.50
półrocznie . „ 1.25
z przesyłką pocztową:
rocznie złr. 3.—
„ mrk. 5.30
„ fr. 6.50
półrocznie złr. 1.50
„ mrk. 2.70
„ fr. 3.25

Smutnym bywa zaprawdę los najszczytniejszych idei, i gdyby nie ciągłe doświadczenie wskazujące, że koło postępu mimo podłożonych umyślnie kamieni mimo przestanków, a nawet chwilowego cofania, ciągle naprzód i naprzód się toczy, patrząc w bieżącej chwili na społeczeństwo, trzebaby chyba zwątpić.

Co się stało z hasłami wielkiej rewolucyi francuskiej, która za morzem krwi i łez wskazywała słoneczną szczęścia krainę? Oto sztandar liberalizmu, noszący dawniej na sobie promienne zgłoski: prawa człowieka — zbladły, zszarzały, piastują dzisiaj na zachodzie... żydzi bankierzy i opaśli fabrykanci, których idea wolności, ogranicza się do „wolnej konkurencyi“ a raczej wolnego wyzyskiwania. Oto patryotyzm, ten bóg potężny zmarszczeniem brwi całego narodu, w frygijskiej czerwonej czapce, głoszący miłość i swobodę milionom, zmienił się tam dzisiaj w wygodny i korzystny serwilizm lub w furyę piekielną, głoszącą nienawiść spokojnym sąsiadom, wstrząsającą pochodnią wojny i pożogi, poruszającą milionami bagnetów nie w obronie praw ludu, lecz dla niesienia niewoli.

W imię tego liberalizmu i patryotyzmu zwalcza się dziś wszystko płatnem piórem, co naprawdę liberalne i patryotyczne — a lud, gdyby był do tego zdolny, dziwiłby się bardzo, czemu on poniewierany, kiedy nim rządzą „liberały“, czemu on de facto wszędzie w politycznej niewoli, kiedy nim rządzą „patryoci“. Niestety on się jeszcze dziwić nie zaczął....

Zdawałoby się, że w narodzie naszym, w którym miłość ojczyzny najpotężniejszą była postępu dźwignią, jedyną ochronną tarczą przeciw zalewowi obcych żywiołów, uczucie to powinno było najmniej uledz sfałszowaniu, Prawda, że skutkiem braku ekonomicznych i politycznych warunków nie zdołano go przekuć w bezduszny militaryzm nie zdołano zeń zrobić za pomocą dzienników, służki giełdowych szachrek, że nawet idea demokratycznego patryotyzmu, od Kościuszkowskiego powstania, stawała ciągle jako jedyna nadzieja ratunku przed oczami narodu; ale jak z jednej strony nie brakło ludzi, którzy w jej szatę otulili swój kastowy i osobisty interes, wmawiając w siebie i drugich, że ich sprawa to sprawa narodu całego, tak z drugiej nawet u ludzi szczerze ojczyznę miłujących, struna uczucia tego ciągle i boleśnie targana ręką gnębicieli rozebrzmiała się ciągłym jękiem, uczucie weszło w stan jakiejś patologicznej nadczułości.

Wytłomaczmy się bliżej. Pierwsi, o których właściwie i mówić nie warto, to arystokracya, która nigdy i nigdzie jako klasa patryotyczną nie była i być nie mogła, powodowana u nas ślepym a egoistycznym konserwatyzmem, wywleka z grobu strupieszałe przeszłości zabytki na ideały narodowe, zwołując gromy na tych, co w błogie czasy minionych stuleci wracać się nie chcą, lub u „narodowej nawy“ z uśmiechem uniżonego lokaja, w rządowej liberyi, na boku gada po cichutku o „ściślejszej ojczyźnie“.

Tych jednak nie wiele, choć wpływem dziś groźni. U ogółu rozróżnić musimy dwa różne pojmowania ojczystej sprawy.

Byliśmy zawsze „papug narodem“ to też najłatwiej nas może było wyuczyć jakiegoś frazesu, który zdołał bezmyślnie powtarzany nas samych przekonać, choćby najbardziej bijąco w oczy z prawdą był sprzeczny. Do takich powtarzanych i uznanych niestety u wielu

jeszcze zdań należy, że Polska musi być katolicka, że w Rzymie nasza nadzieja i zbawienie. Nie pomogło całe dziejowe doświadczenie błogich skutków tej rzymskiej polityki, klęski warneńskie, nieszczęsne Władysława do Rosyi wyprawy, ohydna sprawa dyssydentów, ogłupienie jezuickiemi szkoły, przekleństwa miotane z Watykanu na Męczenników ojczystej sprawy — nie pomogło rozpaczliwe wołanie poety: „krzyż twa nadzieja, a twa zguba w Rzymie“. Do dziś dnia mamy setki „patryotów“ zdobiących konfederatkę szerokimi kresy jezuickiego kapelusza, narażających nas na śmiech całej cywilizowanej Europy i równającej naszą sprawę z donkarlistowskiemi awanturami.

Z tą partyą, zwolenników czerwonych butów, trzymania w rygorze „chama“ i obskurantyzmu nie można dysputować. Oni muszą jak mamuty zniknąć z powierzchni ziemi, pozostawiając po sobie tylko wspomnienie anachronizmu.

Żal jednak bierze patrzeć na drugą część narodu, inteligentniejszą często, zacną i szlachetną. Wykołysana bohaterskimi śpiewy wieszczów naszych, wykarmiona opowiadaniami o pomordowanych ojcach i dziadach, nauczyła się od kolebki nienawidzić wroga, nienawidzić instynktownie, ślepo. I nie byłoby w tem nic złego, bo pewnie, że gnębiony naród nie może kochać gnębicieli, że nienawiść fanatyczna może być potężnym czynnikiem oswobodzenia, ale ponieważ jest fanatyczną, pociąga za sobą fatalne następstwa. Ta nienawiść każe apoteozować siebie. Więc Polska dla nich jeszcze ciągle niewinną męczennicą, białą gołąbką w szponach jastrzębia. To negatywne uczucie nienawiści starczy im za wszystko, odebrano nam wolność, musimy ją odzyskać, a wroga nienawidzimy. „Co tam sprawy bieżące, nędza ekonomiczna, brak oświaty — ot biały orzeł spi... Co tam postępy zachodu, my mamy swoich wieszczów, a tam sami kupcy, Niemiec pluder, złodziej — moskal niedźwiedź, brutal — i kwita“.

I do głowy im nie przyjdzie, że śpiewaniem: „Jeszcze nie zginęła“, wysoką polityką milczenia tam, gdzie o najżywotniejsze sprawy kraju idzie, lub patetycznemi frazesami, rzucanemi na wiatr, ojczyzny nie zbawią, że pluder Niemiec nietylko brutalną ale i cywilizacyjną nas przygniata siłą, że ten niedźwiedź Moskal ocknął się od pół wieku i niedługo na drodze postępu nas wyprzedzi. Ślepa nienawiść wszystkiego tego widzieć nie pozwala. A nie zapomnieć, że byt narodu od mrówczej pracy, od dobrobytu, od uobywatelenia mas, a nie od najpiękniejszych choćby piosenek i patetycznych frazesów zależy.

Żal patrzeć na tych ludzi notujących gorączkowo, z zaniedbaniem najbardziej piekących spraw domowych, co pierwszy lepszy pismak zagraniczny o nas powie, wyczekujących godziny, w której Europa uzna „niesprawiedliwość“ nam wyrządzoną i rzuci z łaski jak kość pod stół jaki kawałeczek ziemi. „Kto się ujmie za nami“? Zwoła się braci włościan od roli na wroga. A potem jak „szablą odbierzemy“ swoje, wyprawi się chłopom piekny wyżynek za żniwo — i w prawo zwrot! marsz do chałupy i pługa; zamiast na obcych, będziesz pracował na swoich, a jak ci ostatnią krowę za podatki zabiorą, to ci będzie miło, bo na „szteiramcie“ będzie powiewał orzeł biały.

Nic bez ludu, powtarzają, widocznie im się zdaje, że dla szmatu karmazynowego płótna, dlatego, by mieć „swego króla“, kilkadziesiąt ekscellencyi i szambelanów więcej, dlatego, by kilka dzienników mogło na całe gardło wrzeszczeć o „niepodległej ojczyźnie“ i powtarzać bez końca puste parlamentarne debaty, całe masy tego ludu gnącego się pod brzemieniem pracy, pożółkłego od głodowej malaryi, ni ztąd ni zowąd porwą za broń, i będą się tem wszystkiem, nie wiedząc naturalnie nic o tem, czuć bardzo uszczęśliwione. I to jest patryotyzm! Dobry dla jednej klasy, dla jej rozwoju i bytu, ale ponoś naród z niej jednej się nie składa.

Cóż ta wasza ojczyzna, czy tylko przebrzmiałych wspomnień kilka, chorągiewka pąsowa i biała, aparat państwowy, bez jego pożytków i możność czczej gadaniny. Jeśli tak to słusznie zarzuciliście nam brak patryotyzmu, bo my inaczej ojczyznę pojmujemy i inaczej ją kochamy. C. d. n.

Karol Marx.

(Dokończenie).

Wskutek zbytecznego przedłużenia niniejszego artykułu przerywamy go, ograniczając się na podaniu kilku dat z życia wielkiego ekonomisty. Opowiadanie zaś o losach jego teoryi, o jej wpływie na ruchy socyalne, na dzieje Internacyonału postaramy się czytelnikom naszym przedstawić w pracy osobnej.

Karol Marx był żydowskiego pochodzenia. Urodził się 2 maja 1818 r. w Trier, gdzie ojciec jego piastował urząd pruskiego nadradcy górnictwa. Jako słuchacz uniwersytetu oddawał się studyom prawniczym, po ukończeniu których poświęcił się studyom filozofii i nauki społecznej. Jako literat wystąpił poraz pierwszy w 1843 roku w Paryżu, gdzie wydawał „Deutsch-französische Jahrbücher“ i wspólnie z Heinem „Vorwärts“. W roku 1845 został, na żądanie Prus, wydalony z Paryża przez rząd Ludwika Filipa i udał się do Brukseli, gdzie wziął udział w międzynarodowem demokratycznem stowarzyszeniu, następnie w robotniczym kongresie w Londynie w 1847 r., gdzie też wspólnie z Fr. Engelsem wypracował słynny „Manifest komunistycznej partyi“, który w zarodzie zawiera wszystkie zasady, którym hołdują obecnie niemieccy socyal-demokraci i większość socyalistów innych krajów Europy i Ameryki. Kiedy wybuchła rewolucya w 1848 r., Marx udał się napowrót do Paryża, następnie do Kolonii, gdzie założył „Neue Rheinische Zeitung“, którą jednak stłumiono, gdy Marx zaczął w niej wzywać do niepłacenia podatków. O socyalistyczne tendencye był kilka razy oskarżany, lecz przysięgli go zawsze uwalniali. Z Kolonii musiał się wkrótce udać do Paryża, a stąd po wydaleniu go przez Napoleona III, do Londynu. Tu wypracował plan dla międzynarodowego stowarzyszenia robotników Internacyonału, które wstąpiło w życie 28 października 1864 i którego był przewódcą do 1871 r. Wskutek zatargów z Bakuninem i większością sekcyi Internacyonału stracił jednak u robotników na znaczeniu, tak, że na haagskim kongresie Internacyonału w 1872 r. centralna Rada ostatniego w Londynie została rozwiązaną i Marxa pozbawiono w takowej godności sekretarza. Pozostał on przez pewien czas na czele centralistycznej frakcyi, która oddzieliła się od federacyjnych sekcyj Internacyonału, który też faktycznie przestał istnieć. Ostatnie lata przebył Marx z familią na wsi w Argenteuil pod Paryżem, umarł zaś w 65 roku życia w Londynie.

Urywek.

Udzielono nam następny ustęp wyrwany z większej całości:

Ignac chciał coś mówić — mecenas obrócił się do okna i gładził długą brodę. Przygnębiony podejrzeniem stoczył się Ignac jak pijany ze schodów i wyszedł na ulicę. Nie poznawał ludzi ani przedmiotów. Spotkało go dwóch kolegów. Wołali za nim — nie odwrócił się — złapali go za rękaw:

„Cóż ty powiesz nowego?“

„Ja? nic“ odparł i wodził po nich błędnym wzrokiem.

„Cięty, jak Boga kocham, cięty!“ i odeszli śmiejąc się.

Poszedł dalej, przechodnie trącali go. Na skręcie ulicy fiakier zawadził o niego. Uskoczył na bok i szedł dalej, słońce paliło z góry. Z chaosu myśli wyłoniła się jedna. „Więc to Karol okradł! on! kiedy ja poszedłem po wodę kolońską. On mnie zgubił. — Ale choćbym go wskazał, mecenas nic nie uwierzy, nikt go nie widział wchodzącego, zaprze się i ja jeszcze oprócz nazwy złodzieja, dostanę nazwę oszczercy — „okropne“! Szedł dalej z rozpaczą w sercu. „Możeby wziąć rzecz na siebie i oddać, pożyczywszy, ale gdzie? skąd? Walentych nie ma: pojechali na wieś — kolegów nie ma — pisać? za trzy dni nikt mi nie odpowie przychylnie! Co robić?“ Nie wiedział i szedł dalej, szedł niepohamowany niczem. Minął rogatki przeciskając się między furami targowemi — dostał się na równinę i biegł prawie wąską ścieżką między dwoma łanami pszenicy. Żniwiarze ostrzyli sierpy, dolatywały śpiewy cienkiem głosem zawodzone: Na białym koniku pan starosta jedzie... a wiatr niósł je po falach zboża daleko.

Ignac nie słyszał śpiewów, było mu gorąco zrzucił kapelusz, surdut i upadł na trawnik. Potraw zebrany w kopki, pachniał jak w domu u ojca. Sroki trzepotały się nad nim, krzycząc skrzekliwie, i słońce prosto nad głową gorzało. Szli ludzie na południe do domu, kosy dzwoniły, osełki schowane w drewniane króbki bulkotały w wodzie u pasa żniwiarzy — dzieci ciągły przodem trzymając się za ręce. Ignac patrzał bezmyślnie i szeptał: „jak u ojca! jak u ojca“! Przyszedł mu na myśl stary w białym kitlu, w rudych od chodzenia butach z cholewami, których uszy skórzane wisiały po bokach, z pałką w obrośniętej włosem ręce. Stary gryzł kłosy owsa w zębach i nucił pod nosem: „Siałem proso na zagonie, nie mogłem go żąć — Pokochałem piękne dziewcze, nie mogłem go wziąć“, a mały Ignaś trzymał go za połę i dreptał patrząc w górę na jego wąsy — „tatusiu! tatusiu, a kupi mi

tatuś kogutka z gliny na odpuście". „Kupi! kupi ci dziecko"! Zrobiło mu się miękko na sercu. Leżał, a oczy mgłą mu zaszły.

„Biedny stary! Doniosą mu, że syna ma złodzieja— biedny stary", i przypomniał sobie ojca w zielonej kapocie w kościele. Ludek śpiewał: Hej! nam! hej nam! synu Maryje... a ojciec niskim basem wtórował. „Jak ja mu się na oczy pokażę z kryminału? Ja nie chcę kryminału! wolę śmierć"! I leżał dalej. Ludzie wrócili z obiadu — on głodu nie czuł — pragnienie go paliło. Słońce szło powoli po niebie, zbliżało się do lip osłaniających wieś sąsiednią. Ignac podniósł się i poszedł wolnym krokiem do domu Zapalił cygaro, ale je po chwili rzucił daleko od siebie. Robił się ciepły wieczór, przed rogatką spotykał przechodniów, którzy z miasta wyszli na przechadzkę. Powozy płynęły w pośród kurzawy. Pośpieszył kroku i dostał się do mieszkania.

Promienie zachodu ukośnie wpadały przez szyby, w pokoju było duszno. Otwarł okno, napił się wody i zasiadł do pisania. List jeden napisał do mecenasa z usprawiedliwieniem, że niewinny, a hańby przeżyć nie może „prosi o dobre wspomnienie i rehabilitacyą". Do ojca nie pisał nic. Do Karola zaadresował list drugi. Potem wyjął mosiężną miednicę z umywalni i postawił ją na stole. z drugiego pokoiku przyniósł z zapieca resztki węgla. Miał suchy sypał się po pokoju przez szpary koszyka. Ułożył drewka w miednicy i zapalił, sypał na nie miał i przykładał grubsze kawałki. Ogień wesoło zaczął buzować — szczapy trzaskały. Dym wzniósł się wąską smugą ku górze. Koszyk odniósł na swoje miejsce, zamknął drzwi na klucz i zatkał szpary ręcznikiem. Potem zamknął szczelnie okno i spuścił roletę.

W pokoju zrobiło się ciemno, ogarnął go strach, poszukał zapałek i zaświecił. Zdjął surdut i buty, napił się wody, listy położył koło miednicy i rzucił się na kanapę grzbietem do góry. Odwrócił się po chwili i spojrzał w około. Bury dym wydobywał się z miednicy, lizał jej brzegi i spuszczał się wolno ku dołowi. Zdawało mu się, że pływa w obłokach. Nie widział podłogi tylko niewyraźne zarysy ruchomej płaszczyzny, która ciężko się poruszając układała do równowagi, Boleść i rozpacz opuściły go, nie myślał o niczem, tylko patrzał w koło siebie. Położył głowę na poduszkę i próbował usnąć. Sen uciekał mu z oczu. Po chwili spojrzał na pokój: dym wzniósł się pod dno miednicy, całe fale buchały z ogniska spływając na stół i rozlewając się w przestrzeni. Tumany otoczyły go, dym gryzł go w oczy zmuszając do wydzielania obfitych łez. Płakał ale nie sercem tylko oczami. Poczuł ból w skroniach. Przyłożył rękę do skroni. Nie pomogło to, cierpienie rozeszło się po całem czole, zdawało mu się, że w czaszce wybucha mu cały arsenał i chce rozerwać okrycie kości.

Ogarnął go straszny niepokój, myśli pod chwilą spokojne zawiodły tan szalony. Ochydne widma latały mu przed oczyma wykrzywiając się i grożąc.

Wychylały chude, pomarszczone szyje z dymu i rozglądały się bezbarwnym wzrokiem. Chowały się potem głęboko i nie widział ich więcej. Świat cały z gwiazdami, morzami, słońcem, dziećmi, kościołami, wulkanami i miastami wirował przed nim. Twarze znajome przesuwały się z pośpiechem, a każda śmiała się do niego z wyrazem potępieńca. Na chwilę zdołał odpędzić od siebie widziadła i przerażony zwrócił oczy przed siebie. Lampa płonęła jasno, widział jej światło otoczone sferą mglistą, dym kłębił się w olbrzymich kręgach, które uderzały o siebie, druzgotały się i gniotły, układając w dolnych warstwach w jednę litą masę. Całe to zjawisko odbywało się po cichu. Ta cisza przyprowadzała go do szaleństwa, słyszał w niej bicie pospieszne serca i gwałtowny, urywany swój oddech. Drobne naczynka na czole, twarzy i tyle głowy biły mu z dziwną siłą i pośpiechem. Znużony wysiłkiem woli, runął znów na kanapę twarzą do poduszki. Pot tak silnie go oblewał, że czuł jak koszula przylega mu do ciała i chłodzi go niemile. Chciał ją zrzucić z siebie ale brakło mu siły. Pochylił się ku podłodze i zaczął pluć. Rzadka ślina lała mu się z ust, osiadając na zimnej brodzie. Plucie powiększało jeszcze jego pragnienie, chciał wstać i iść do dzbanka, ale zaledwo się podniósł, upadł nazad i zaczął drgać straszliwie. Ręce biły w kanapę, odskakując w górę, podrzucane siłą sprężyn, noga kaleczyła się o gwóźdź wbity do ściany. Mary ochydne wróciły... przysuwały się tak do niego, że czuł ich oddech smrodliwy a brakło mu siły, by się od nich odwrócić. W uszach szumiało mu. Potem usłyszał bicie tysiąca dzwonów, których głos stłumiony zdawał się z pod ziemi wydobywać. Wołania tłumów, pełne rozpaczy i zwątpienia przerażały go, czuł, że takie wołanie nie ma w sobie nadziei. Głosy te słabły, słabły coraz bardziej, oddalały się i znów zostało tylko samo bicie dzwonów, które zlało się w jeden wysoki, ostry ton dźwięczący bez końca. Dźwięk ten nie słabł. Usypiając pod naciskiem nieprzepartego popędu słyszał ten dźwięk i wykrzywił się do niego boleśnie.

Zrobiło mu się zimno w stopy i palce u rąk. Nos zdawał się marznąć i sprawiał mu chłód rzeźwiący. Ale chłód ten rozchodził się po całem ciele, doszedł do szyi, ogarnął go całego. Oddychał coraz wolniej. Po chwili nastąpiło przesilenie. Czuł, że go kanapa pali, że mu każdy włos płonie i rozgrzewa się do białości; tracił czucie. Próbował ręką ruszyć, nie mógł. Próbował nogę dźwignąć, noga była bez ruchu. Oddech ustał, życie gasło. Trup stężały leżał na kanapie. W pośród kłębów dymu lampa migotała blado, zegar miejski wybijał godziny. Z miednicy stoczył się wypalony węgiel i spadł na podłogę. Lampa świeciła jeszcze niebiesko, zgasła i było ciemno w pokoju.... Tak

przeszła długa, milcząca chwila. Blask dzienny zajrzał do środka przez okno i rozlał bure światło w dymnej przestrzeni..... *Eł. Jot.*

Z Teki Nieczui.

Sądząc po racach dziennikarskich, puszczanych przed narodzinami Teki Nieczui, można jej było wróżyć szerszy rozgłos i spodziewać się, że wywoła choćby przysłowiową burzę w szklance wody. Stało się tymczasem inaczej — Teka prawie niepostrzeżenie przemknęła przez prasę. Niektóre pisma wspomniały o niej pobieżnie, inne wypowiedziały ogólne a nic nie mówiące zdanie, niektóre całkiem nawet pominęły, że już nie wspomnimy o szan. organie z ulicy Różanej, przeciw którego koteryi i jej przywódcom skierował autor Teki swe najzjadliwsze strzały. Jakaż przyczyna tej iście olimpijskiej ciszy? Niewątpliwie, że próżniactwo dziennikarskie gra tu niepoślednią rolę. Książka o przeszło 300 stronnicach, to dla naszych dziennikarzy, karmiących czytelników specyalnie Cettewayami i redagujących gazety za pomocą nożyczek — pewnego rodzaju bohaterstwo. Obok tego jednakże dopatrzeć można i tym razem właściwej pewnym naszym pismom zasady nie poruszania tego, czego ganić nie można, a czego znowu chwalić nie wypada....

Przyszłość, jako organ sprawom młodzieży poświęcony, nie ma pretensyi nie tylko do polityki węgierskiej, przez pewne pisemko krakowskie uprawianej, ale nawet krajowej; strzeże spraw sobie właściwych — do walki, jaka wre między jej ojcami nie rzuca się i nie porywa. Z tych to względów Tekę Nieczui potraktuje po macoszemu, szczegółowym jej rozbiorem nie zajmie się — podniesie tylko jej niektóre ustępy. *).

Tekę rozpoczyna list wstępny p. Nieczui, wystosowany z tamtego świata do jakiegoś znajomego na ziemi. Imci pan Nieczuja radby był, aby jego Tekę napisał który „z przednich pisarzy polskich“ przebywających w niebie, a przynajmniej, aby ją skorygował. Ale nadzieje zawodzą — nikt podjąć się pisania nie chce, przytem jeden radzi tak, drugi owak, ten obawia się pamfletu, tamten go doradza. Brak jedności w zdaniu zupełnie jak na ziemi, tylko, że tu w niebie pod wszystkimi grunt jednaki a punctum widzenia — ojczyzna. Wreszcie wyprowadza p. Nieczuję z kłopotu Mickiewicz, który ukazawszy się mu, lewe oko przymróżył i rzekł: „Pal Tadeuszku jak do jasnej świecy!“

Tak tedy powstały listy p. Nieczui.

Pierwszy z nich z datą 1869 r. zajmuje się krytyką Teki Stańczyka, odbija jej zarzuty, kreśli odpowiednie chwile z porozbiorowych dziejów oraz historyę pism stańczykowskich: Czasu i Przeglądu polskiego, poświęca bałamutny ustęp „materyalistom“ — bałamutny, gdyż miesza wyznawców poważnej filozoficznej doktryny ze zwykłymi karjerowiczami i komunistami — zarysowuje działalność stańczyków na literackiem i politycznem polu, wreszcie z gorzkiemi słowy zwraca się do Krakowa, gdzie „cmentarna wegetacya“ i gdzie „rządzą ci, co swe konie ubierają w niemieckie chomonty“.

Rzecz dzieje się w niebie. Widzimy tu zasłużonych krajowi mężów, Mickiewicza, Śniadeckich, Lelewela i innych, jak zbierają się na trybunał dla sądzenia Stańczyków, jak roztrząsają ich błędy i toczą poważne dysputy. Opowiadanie bardzo zręczne i jędrne, przyozdobione barwnemi opisami i gdzie niegdzie zaprawne staropolskim humorem. Jednym z najpiękniejszych ustępów Teki, z którym właśnie chcemy poznać bliżej czytelników — jest wysoce podniosły ustęp, poświęcony Malczewskiemu, autorowi Maryi i bratu prof. Tarnowkiego, Julkowi, jak go powszechnie zwano, zacnemu młodzieńcowi, który zginął w powstaniu 1863 r. W ustępie tym z wielką grozą odmalowana jest potworność ukazania się Teki Stańczyka, obrzucenia błotem i sponiewierania najświętszych uczuć narodu, owych bezecnych chichotów i tańców, jakie na świeżych mogiłach wyprawiono. Autor rzecz całą przystraja w kwiaty fantazyi, opisuje wyspę pełną kurhanów, z błądzącymi po stepie duchami, z szumem fal dnieprzanych i z widokiem na wiecznym śniegiem pokryte góry szwajcarskie, a którą to wyspę, „szukając swojego gniazda daleko od ziemi“ wybrał na mieszkanie dla siebie Malczewski i na niej pędził dni w gorzkich rozpamiętywaniach nad losami swemi i kraju, gdzie „lampa szczęścia, co w oczach jego się paliła, zgasła i swoim dymem całą twarz zaćmiła“. Zazwyczaj siadywał tutaj nad brzegiem wody i z głęboką tęsknotą wpatrywał się w jej fale: „Może w tej wodzie jego Maryę utopiono“.... Czasem znowu patrzał na owe góry wiecznym śniegiem pokryte, a wtedy widać było na jego twarzy ów uśmiech zachwycenia, „z jakim wybrani słyszą cherubinów pienia“.

Kiedy Julek Tarnowski, zmuszony także „szukać swojego gniazda daleko od ziemi“ na rękach starych rycerzy został do nieba wniesiony, Malczewski upodobał go sobie i wziął do siebie. Julek żył tam szczęśliwie. Lecz dnia przed wspomnianem wyżej zebraniem trybunału, zachwiał się nagle i wydał krzyk straszny, jakby krzyk duszy do głębi rozdartej: zaś na zapytanie Malczewskiego, co ci to dziecię? — ów krzyk straszliwy jeszcze raz się powtórzył i nieszczęśliwy młodzieniec zawołał: „Ach! na ziemi... ktoś plunął na moją krew!“ „Na krew za ojczyznę przelaną — rzecze Malczewski — któż pluje? to chyba obcy?“ A wtedy krzyk po raz trzeci się powtórzył i przez łez strumienie przebiły się słowa: „Oh, nie! to swój“....

A potem — brzmi dalej opowiadanie — widzieliśmy Julka, siedzącego jako liść zwiędły nad brzegiem wody, trzymającego się rękami za głowę i pragnącego „uciec od rozpaczy“, potem spłynęły z góry różowe promienie — a potem jeszcze widzieliśmy odpływające na nich dwa duchy do nieba. — Miłosierdzie boskie chciało im zaoszczędzić dalszych boleści....

Trybunał po licznych dysputach ostatecznego wyroku na Stańczyków nie wydaje. Postanawia czekać — może się zrehabilitują.... *J. Z.*

---

*) Szan. kolegów, życzących sobie bliżej poznać Tekę Nieczui odsyłamy do najbliższego numeru warszawskiej „Prawdy,“ która — jak się właśnie dowiadujemy od autora niniejszego artykułu — szerzej przejrzy tę książkę. *(Przyp. Redakcyi).*

Z zapisek.

Poruszyliśmy niedawno kwęstyę czytania dzieł w pewnym związku. kwestyę katalogów, służących za wskazówkę do kształcenia się. — Jeżeli siły pozwolą postaramy o wydanie systematycznie sporządzonego podręcznika. Obecnie ograniczymy się na kilku ogólnych uwagach odnoszących się do czytania utworów belletrystycznych.

Powieść dziś posiada niepospolity wpływ na rozwój moralny jednostek i całych pokoleń. Jest ona wytworem specyalnym nowych czasów, one przynajmniej przekształciły ją, z gruntu nadały jej odrębne znaczenie, skierowały ją ku pewnym celom. Pierwszym argumentem jej doniosłości, jest ogromna poczytność. Powieść stała się potrzebą ograniczną. Czyta się ją pobieżnie, dla zabicia czasu, dla wypoczynku, dla zapomnienia o czemś. Czyta się ją w domu, w wagonie, na spacerze, w czasie choroby, jednemsłowem wszędzie. Czytają ją wszyscy. Zacząwszy od wytwornych salonów, gdzie na stolikach palisandrowych leżą wykwintne nowości księgarskie, na pięknym welinie drukowane, spotkamy ją w pokoju studenckim, między pensyonarskiemi zeszytami, na warsztacie rzemieślnika, nawet w chacie włościańskiej.

Całe szeregi ludowych, tanich wydawnictw niemieckich, dowodzą niezwykłego popytu na lekką lekturę. W Londynie każda robotnica wychodząc z fabryki lub szwalni razem z bułką, która jej służy na wieczerzę, kupuje mokry jeszcze arkusz powieści, którą wczoraj rozpoczęła czytać... co wieczór jeden arkusz. Takie nerwowe. bezwiedne zamiłowanie do czytania powieści jest charakterystyczną cechą wieku, w którym oświata rozszerzą się z szybkością piorunu, rozlewając się szeroko lecz płytko. Sam cel czytania podobnego wyklucza całkowicie poważny wpływ dzieła powieściowego. Czyta się, zbyt prędko i dorywczo, żeby treść mogła silnie oddziałać. Dlatego jedno, pojedyncze dzieło nie ma doniosłości społecznej. Ale czytanie ciągłe, zostawia zawsze pewne reminiscencye, pewną sumę wrażeń, które mogą oderwać się później, jako rzekomo własne opinie, po zapomnieniu już tytułu i treści dzieła. W tem właśnie leży wpływ powieści. Przemycają one całe szeregi zdań i poglądów, przerabiając powoli umysł gorliwego czytelnika. Robią z niego swój produkt, urabiają go na swą modłę, przenikając go swemi tendencyami. Tendencye zależą zaś od indywidualności pisarza. On wciela się w swoje kreacye i przez nie działa na ogół. Ma w ręku sumienie pokolenia. Może je napoić trucizną lub posilnym sokiem. Mamy na to liczne przykłady, że powieść może sprawiać dziwne skutki a odpowiedzialność lub zasługa leży zawsze po stronie pisarza. Cierpienia młodego Werthera nie jedną sentymentalną duszę uzbroiły samobójczą bronią.

Znany epizod życia Goethego w czasie jego podróży do Harzu jest dobrem objaśnieniem tych stosunków. Równie pierwsze powieści Wiktora Hugo oddziałały na całe pokolenia a bohaterki pani Sand zrodziły tysiące żyjących karykatur, z których humorysta Wilkoński złośliwie się w swoim czasie wyśmiewał.

Polityczne prądy, dynastye upadające, miały swych agitatorów w pisarzach, którzy piórem zyskiwali im wrogów, lub zagorzałych stronników. Powieść nie może być bez wpływu, bo niesie w sobie zawsze pewne tendencye. Tendencye te mogą być natury czysto etycznej, mogą być jednak i społecznej natury. Objawiały się nieraz tak silnie że rozrostem swym przygniatały artyzm i prawdę, wyrastając ich kosztem. Tworzą się wówczas rzeczy spaczone, chorobliwe, gwałcące, równowagę praw tworzenia. prawdę życiową i zdrowy rozsądek. byle tylko dopiąć swego celu. Taki sposób pisania jest zerwaniem z pięknem. jest zaprzężeniem Pegaza do poziomych robót moralizatorskich czy dydaktycznych. Choćby więc intencye były w pisarzu najlepsze, mijają się jednak ze swem przeznaczeniem. Sztuka chce przedewszystkiem prawdy. a tej prawdzie litej, czystej, nie skażonej zostawia misye nauczania. Dlatego w najskrajniejszej epoce romantyzmu. kiedy pisano tomy całe dla samego stylu i wyraźnie do tego się przyznawano, kiedy kaleczono prawdopodobieństwo dla celowego działania. powstawały zawsze głosy, stłumiane i zagłuszane wołające w imię prawdy i sztuki o wierne odtwarzanie realnych stosunków. Głosy te dążyły do wyrugowania tendencyji z pierwszego planu powieści. Oburzały się na autorów, którzy indywidualizmem swoim poili kreacye odejmując im przez to własną indywidualność.

Na to miejsce zaczął rozwijać się kierunek nowy, coraz potężniejszy i siebie świadomszy, kierunek, który ogarnął wszystkie gałęzie sztuki. mający swe uzasadnienie zresztą w klasycznej literaturze. Jestto realizm, który powiada, że zadaniem jego jest prawda, że szuka piękna w prawdzie, jak znowu prawdy w pięknie. Zwrot to całkiem naturalny i nie nowy, polscy romantycy mieli to samo hasło, tylko że zgubili się w mistycznych wędrówkach na emigracyi.

Ten wiekuisty realizm wszystkich zdrowych epok literatury pojawia się na gruzach romantyzmu. Zasady prawdy pojął on w swój oryginalny sposób i doskonalił się coraz więcej. Balzak we Francyi jest jednym z pierwszych jego piastunów, nie był jednak jedynym. Realizm angielski może słusznie rościć sobie pretensye do narodowego pochodzenia jak również powieściopisarstwo rosyjskie ma prawo z dumą patrzeć na Gogola, autora Dusz martwych. U nas możemy już w najpierwszych utworach Kraszewskiego dopatrzyć się predylekcyi realistycznych. — Ideałem realizmu jest szerokie poczucie ideału. Pojęcia: „piękne lub brzydkie“, idą na drugi plan. Rozchodzi się o pytanie: „prawdziwie, wierne czy nie“? Życie ludzkie, choćby najprostsze, choćby upłynęło cicho, bez żadnych wypadków głośnych, jest jednak zawsze dziwacznie splątanym łańcuchem przyczyn i skutków, jest produktem wpływów wewnętrznych, które tworzą różne uczucia i pożądania a z pożądań i uczuć rodzą się czyny. Pochwycić taki czyn. roztrząsnąć go, rozebrać, doszukać się ostatecznych jego motywów, na gorącym uczynku schwytać urodzenie się jakiegoś uczucia, jego powolne przeradzanie się w działalność, jest zadaniem godnem artysty, pisarza. On patrzy jak życie fala za falą bije na jednostkę i robi z tą jednostką co chce. Jednostka broni się, ulega lub zwycięża. Kolizya zawsze jest potężna, tragiczna, bo prawdziwa, bo ludzka.

Tu realizm szuka swych tematów. Patrzy na życie, obserwuje je i opisuje wiernie. Życie dostarczy pisarzowi zawsze dość motywów pięknych lub ujemnych, bez sztucznego sklejania, bez gonienia za efektem, a daje mu jeszcze prawdę. Jest niewątpliwą rzeczą, że

im rzetelniej, im lepiej autor odmaluje całą skalę subtelnych uczuć i i wpływów, tem potężniejsze sprawi wrażenie. Jedna i ta sama metoda wydaje rzeczy złe i dobre. Lecz to już należy do tajników tworzenia. Metoda wskazuje ale nie robi, dlatego kierunek realistyczny nie odpowiada za brudne płody swych fałszywych kapłanów, stokroć gorsze jeszcze od ckliwych sielanek zeszłowiecznych. Plugastwo nie jest jego częścią składową, jak to wielu mniema.

Ciekawą jest rzeczą jak się tendencya może objawić w takiem obserwacyjnem, spokojnem dziele, jakiem powinien być każdy utwór realistyczny? Że tendencya być musi, to jasne, że jednak nie jest ostatecznym celem utworu, to jest zrozumiałe, choćby dla tego, że realista prawdy nie poświęci dla morału.

Tendencya objawia się tu sama przez się, jakby mimowoli a jednak potężnie, potężniej nawet niż w dziełach umyślnie obładowanych dydaktyką. Pojawia się przez prawdę. Jeżeli tylko życie, wiernie wszechstronnie jest odmalowane, musi ono nieść w sobie jakiś moralny pierwiastek, (zły czy dobry, to wszystko jedno) musi wiać z niego jakaś etyka, mająca w sobie konsekwencyą. Nie potrzeba tu aby dachówka spadła na głowę patrona, który sieroty ograbił, lub żeby zdrajca zginął haniebną śmiercią. W życiu nie zawsze tak jest, ale fatalizm czynów potępi w oczach czytelnika występną jednoskę. Taka tendencya wprawdzie pozbawiona jest namacalności, ale nosi na sobie piętno faktycznej prawdy, ale daje jakąś niezłomną gwarancyę rzeczywistości. Spotkał ją zarzut bardzo powszechny, że jest niemoralna. Dlaczego? Bo opisy jej zapuszczają się nieraz w celu wykrycia prawdy w tajniki nie dla każdego uczucia przystępne. Realista nie zatrzymuje się w pół drogi. W pogoni za prawdą oświeca swą pochodnią sceny brudne i wstrętne, ale nie należy zapominać, że i napiętnuje je od razu, że nie lubuje się niemi cynicznie, nie tai ich ohydy dla umilenia. Przedstawi ich dobre i złe strony, a gdy tych stron złych więcej, to moralność tryumf nad niemi odnosi. Czarujące opisy buduarów, złocenie niecnoty, uwielbianie kokotek, tak gładko, ponętnie opisane przez wytwornych koryfeuszów idealizmu, stokroć jest gorsze od brutalnych scen Flauberta lub Zoli. Prowadzi ono do uświęcenia rospusty, do jej zachwalenia, podczas gdy sumienna analiza realistów pokaże na błoto, kto od którego każdy ze wstrętem się odwróci. Z wędrówki po jaskiniach występku wynosi realista zdrowe ziarno moralne, bo życie ma swą surową, niezłomną moralność, objawiającą się w logice następstw. Nie rozwodzi się jak sentymentalni literacki romantyczni nad kolejami swych postaci, nie rozwadnia ich charakterów w powodzi wykrzykników i uwag. Prostota cechuje realistę: brzemienne w następstwa zdarzenia, rozdzierające sceny opisuje zimno, z pedantycznem umiarkowaniem. A jednak prostota ta ma w sobie wzruszającą siłę. Czuć że za tymi umiarkowanymi wyrazami kryje się bezgraniczne oburzenie dla pokalanego człowieczeństwa, drży gniew lub współczucie. Tylko, że obserwator ani na krok nieustąpi człowiekowi czującemu. Taki Flaubert kiedy spisuje tragiczne akta życia pani Bovary, zachowuje chłód i spokój starego sędziego śledczego. Pod tą dopiero pokrywą chowa się całe morze ironii lub boleści.

Jak widzimy więc, realizm ma tendencyą wysoce moralną. Ale nie jest to pedagogiczna moralność, jest ona raczej psychologiczna. Dlatego na uwadze trzeba mieć nieustannie rozwój przyczynowości w powieści. Jestto nić po której dochodzi się do morału. Bez uwagi na to utwór w gruncie rzeczy bogaty w pierwiastek etyczny nie pouczy; stanie się poprostu źródłem tylko chwilowych podrażnień jakie dać mogą luźne sceny drastycznej natury. Dlatego czytanie powieści, choćby najlepszych nie powinno nigdy przechodzić w nadużycie, a zawsze powinno rozpoczynać się z pewną epoką dojrzałości, w której krytycyzm jest już do pewnego stopnia wydoskonalony a wrażliwość umiarkowana przez nawyknienie do systematycznego myślenia. Szczególnie szkoła naturalistów francuskich wymaga przy czytaniu tych warunków. Nie pochwalając samego dzieła bierzemy na przykład taką Nanę Emila Zoli. Dzieło to które jest straszliwą satyrą na zdemoralizowaną i spanoszoną burżoazyę francuską, które działa przygnębiająco, piętnuje cynizm i upadek stolicy mieszczańskiej republiki, na umysł wrażliwy i niedoświadczony może jednak oddziałać jak narkotyk zbytnią nagością opisów. Nie Zoli w tem wina lecz stosunków. — Brud wyprać się nie da, zawsze brudem zostanie.

GŁOS WOLNY.

Nasz liberalizm przekonaniowy ma, jak wszystko na świecie swoje granice. Tylko te granice są trochę ciasne. Dyskusya, różnica opinii dozwolona jest w niektórych tylko kwestyach—niby na zasadzie: „in dubiis voluntas“ — „w rzeczach wątpliwych wolny wybór przekonań“. Cały zaś szereg pytań, w których pewne powagi chcą utrzymać monopol przekonaniowy, ogłasza się za niewątpliwy, a jako niewątpliwy, wolny od sporów.

W ten sposób tworzą się całe gniazda przesądów, przesądów nietykalnych, śmiejących się bezpiecznie z postępu, urągających logice, po za płotem ochronnym takich frazesów, jak św. tradycya narodowa, religia, moralność, lub węzły rodzinne. Poważne te zdania straciły cały swój dźwięk lity, wytarły się i zaśniedziały przez nadużycie. Jeśli szydzimy więc z nich, to szydzimy z nich jako ze strachów na wróble, nie jako z postulatów społecznych. Ale kto targnie się na te nietykalne gniazda, ten jest zgubiony. Powagi wyszczerzą na niego spruchniałe zęby i nazwą go wyrodkiem, niegodnym imienia Polaka, pseudo postępowcy zasłonią się połą szowinistycznej czamary i obloką się wyrazem zgrozy. Nie zostaje ci nic jak iść w socyalisty — bo za stołem narodowej biesiady nie ma dla ciebie miejsca. Zostawszy socyalistą, zostajesz zaś wykreślony z rzędu ludzi, zmieniasz się w coś, z czem chyba taki Chochlik lwowski raz na tydzień złośliwie się zechce powadzić po pijanemu, dowodząc ci, żeś ty pijany...

Nie tą drogą szedł wielki liberalizm angielski, który wydał Bradlaugh'ów... zrodził wielkich humanistów 19 wieku, wytworzył atmosferę, w której każdy żywioł ma głos wolny, i zetrzeć się może swobodzie, podczas gdy nasz liberalizm w najlepszym razie dopuszcza oscylacyjnego ruchu między Czasem a Narodówką.

Słów tych kilka są koniecznym wstępem do paru naszych uwag. Zastanowić się chcemy nad programowym u nas prawie obyczajem urządzania owacyi i wielkich uroczystości narodowych na cześć przeszłych czasów. Weźmy sprawę pomnika Mickiewicza. Czem był Adam dla poezyi, tego nie trzeba mówić — od chwili kiedy naród zaczął go nazywać chrzestnem imieniem, od tej chwili niepotrzebuje dowodzić jego wielkości. Ale był to człowiek szczęśliwy. Nikomu się dziś nie naraża — więc bez wielkich swarów zgodzono się postawić mu pomnik. — Do tego potrzeba: 1) pieniędzy, 2) ludzi, którzy by się zajęli wystawieniem pomnika; jeżeli dodamy jeszcze materyał, to już chyba nic więcej nie trzeba, żeby pomnik stanął. A jednak tak nie jest. Pomnik nie stoi dotychczas a to z dwóch przyczyn: 1) z braku pieniędzy, 2) z nadmiaru opiekunów. Pieniędzy nie zebrano, bo wielbiciele poety oparli się na zasadzie Goethego: „Denn das Geben ist sache der Reichen“. Ci bogaci nie dali, więc zbiera się grosz po groszu zacząwszy od pana M. B. A., który ofiarował swój dramat na cele pomnika, a skończywszy na cyrkowych i tramwajowych podatkach. Jakiś pan chciał puszczać balon na ten dochód, inny coś innego chciał robić — ale na szczęście nie dozwolono. — Mickiewicz włóczy się po budach, przedpokojowych skarbonkach, wyciąga rękę na Wilii, robi co może, by uskładać sobie na pomnik... bo pomnik musi stanąć, choć panowie nie chcą dawać, uboga intelligencya nie może dawać, a lud nie wie, że ma dawać. A więc pomnik nie potrzebny, kiedy wszystkie klasy narodu mają każda inny powód do ociągania się w składkach.

Pocóż stawiać ten pomnik? Mamy jednak odpowiedź gotową; Pomnik ma racyę bytu, bo cała prasa gorliwie się nim zajmuje. — Gdyby nasz kraj był bogatym w statystyczne talenta, wnet obliczono by, wiele lat potrzebowałby człowiek do przeczytania całej literatury odnoszącej się do pomnika, wiele mil wyniosłyby ustawione obok siebie wiersze druków prowokacyjno-polemicznych, wiele talentów wysilało mieszczański koncept w sprawie kapłana naszych ideałów. Komitet przez wolną elekcyę powstały, złożony z ludzi, jakich bądź oni przekonań, zawsze uczonych i uczciwych, bezinteresownych, dostarczył tylko materyału do wrzawy. Zatwierdzona wolą ogółu uchwała komitetu, że posąg ma być na rynku, oburzyła don Kiszota rodem z Abdery, pobudziła świeżego szlachcica rozbiorowego do próbek w rodzaju kapitolińskich nocnych stróżów. Z Warszawy odpowiedział im chór, o którego członkach możnaby z Heinem powtórzyć: *Sie waren längst gestorben — Und wussten es selber kaum.*

Ale dość z tym pomnikiem. Poczekajmy no, a doczekamy się. — Ważniejsza bo terminowa sprawa przerwała spory o pomnik. Jest nim jubileusz Sobieskiego. Jestto nowa sposobność do okazania żywotności narodu, bo naród który urządzi jubileusz dla bohatera króla, ten naród nia umarł, jakżeż bowiem może umrzeć naród, który urządził jubileusz dla bohatera króla? Potem ci Wiedeńczycy... Wprawdzie rada miejska powzięła uchwałę przeciwną, ale lud wiedeński w sali Drehera i w sali „pod winogronem“ dosadnie wypowiedział swoją opinię w tej mierze. Ale też Niemcy mają się z czego rzeczywiście cieszyć, bo święcą nieplatoniczną pamiątkę wyrwania się z ciężkiej doli i... Niemcy mają się z a c o cieszyć. Ale dajmy temu pokoj. Historya nic do tego nie ma tu wola narodu orzeka.

We wrześniu naród zaprotestuje przeciw swemu upadkowi wystawą pamiątek z 17 wieku i wielką galą, na której Polska z pod trzech zaborów poda sobie ręce... Pod hasłem czci dla wielkiego króla, może i dzisiejsze hasła zakipią pożądanym głosem, wchodzimy w sferę marzeń... aparat za wiele nas będzie kosztował trudów i pieniędzy, żeby opłacił moralne korzyści. Chyba zyska na tem jeden lub drugi szlachcic, który przysławszy guziki, piórka i obrazki z czasów króla Sobka, wylegitymuje się ze starożytności rodu lepiej, niż przez herbarze pana Hamilkara Kosińskiego lub jakiego innego.

Wspominamy nareszcie projekt wstrzymania się od obiadów na cele zakupna jednego z obrazów Jana Matejki... ale to tylko nawiasem. Nie możemy się zapuszczać w długie spisy tych zadań narodowych, tych symbolów żywotności. Faktem jest, że są liczne, że dużo kosztują, że wiele robią hałasu a mało pożytku. Jestto zabytkiem tej epoki naszych porozbiorowych dziejów kiedy emigracya za granicą bawiła się w przelewanie krwi... na papierze lub w żebraniu łaski u tronów, a w kraju, wobec tłumienia przez despotyczne rządy wszelkiej myśli swobodnej, siły duchowe skierowały się w przeszłość, zakochały się w niej i zagrzebały. Zakwitła archeologia, która dużo ciekawych rzeczy wykryła i otwarła swe łono jako bezpieczną przystać dla niedośpiewanych intencyi spółczesnych... Rozumiano się wtedy na tych hieroglifach i ceniono je jako jedynie możliwą formę koniecznych objawów patryotycznego ducha. W tej powodzi poszukiwań odsuwano się coraz dalej i dalej w przeszłość. Na murach Olsztyna, Lanckorony, na uroczyskach żmujdzkich, na polach dawnych bitew zaspano parę dziesiątków lat. Przyszły ruchy 1863 roku, powiał potem nowy prąd naukowy, świeży, europejski, który z grobów ciągnął w życie skostniatych szperaczy. To co było dawniej dobre stało się nieużyteczne, została jednak forma tradycyonalna i pojawia się ona po dziś dzień, a upór dawnych jej kapłanów spadł w dziedzictwie na licznych potomków, prowadząc dalej z zaciętością swoje dzieło. Dziś wiemy już dobrze, że garstka nieliczna, garstka intelligencyi i to jeszcze podzielonej na partye, nie ma prawa mówić o sobie „my—to naród“, a co więcej nie ma prawa w swoich owacyach upatrywać cech żywotności tego narodu. Tysiące wielkich, piekących zadań, zadań, które stanowią o rzetelnem szczęściu narodu, czekają z dnia na dzień spełnienia. Na stole ojczyzny leżą wysoko jak wieże stosy suplik żałosnych, wołających o chleb, o oświatę, o cywilizacyą. Obchody tego nie dadzą. Wielcy nasi zasłaniają się jak rzeszotem programem pracy organicznej. Czyż w obchodach kosztownych ta praca. „Ale nie samym chlebem człowiek żyje“, „żyje i duchem“, ten duch, to wystawa siodeł i karabel z 17 wieku, ten duch, to galerya narodowego muzeum ze zbiorem gemm i skarabei, która zajmie trzecie miejsce w Europie; ten duch, to tablica spiżowa w ścianie kościelnej! Na tej samej ścianie błyszczy obraz Bogarodzicy, pod którym lud krakowski zbierał się w dni klęski, moru i wojny. Bodaj on nigdy nie klęczał tam znowu wołając o ratunek z pod klęski dowodów żywotności ducha narodowego, które pochłaniają nam wiele, bardzo wiele. O potrzebach ducha tam chyba mówić czas i miejsce, gdzie cielesne potrzeby zaspokojone, bo o głodzie i chłodzie cieszyć się widokiem portretu wydłubanego w kamyczku, lub próbować wagi mieczów naszych pradziadów, to mała uciecha Odpowie kto, a toć nie biedacy urządzają wystawy i komitety patryotyczne! zgoda na

to, ale niech nie mniemają robiąc to, że pracują dla jakiejś idei narodowej, niech nie głoszą, że to czyny wysoce patryotyczne. Robią to przez osobiste poczucie sztuki, niektórzy przez próżność, inni dla sławy, ale nie dla narodu. A jeżeli myślą, że narodowi zda się to dziś na co, to źle myślą, bo za naród uważają mały procent znawców i amatorów. Ale jeden jeszcze względ zostaje im do odpowiedzi: Europa na nas patrzy, musimy coś robić dla Europy na dowód, żeśmy nie umarli! Jestto frazes równie zły, jak stary. Życie nad stan, blichtr który chce się nastroić do pozorów przepychu, to powszechna wada zrujnowanych ludzi. Łudzą się oni, że te sztuczki uratują ich stanowisko, kredyt przeciągną w nieskończoność. Smutne bywa ich rozczarowanie. Szczęśliwszy, kto umie cofnąć się w cztery gołe ściany swego domu i ładem a pracą wydźwignąć się znowu do dawnej świetności. Ale „ostrzegać daremnie“... Jubileusze nas zbawią! Zaprawdę podobni jesteśmy do owego sentymentalnego rusina, któremu niepodoba się dobrobyt sąsiada i śpiewa: „A u meni ni chatynki ani szczaścia ani żinki“. Tylko że narzekania jego mają trochę więcej racyi, bo nie wyzbył się może przez własną winę „chatynki“ i „żinki“.

KORESPONDENCYE.

Z Krakowa.

Lato niepowabne wcale tego roku, tem mniej powabnem być musi w naszem mieście. Jeśli wprawdzie dla częstych deszczów nie potrzebujesz obłykać się kurzu, to z drugiej strony brak nawet jedynej przyjemności, pozostałej dla biedaków, zmuszonych przepędzać wakacye śród miejskich murów, t. j. możności urządzania dalszych wycieczek. — Miasto puste, kto mógł uciekł na wiejskie powietrze i wiejskie błota — resztka studentów, których egzamina trzymały ulotniła się z końcem lipca — rzadko tylko spotkasz na ulicy jakiego niedobitka, który z dziwnie kwaśną i znudzoną miną ogląda się po ulicach nic wiedząc co zrobić ze sobą i czasem wlokącym się powoli.

Pozostaje jedyne miejsce, gdzie można jeszcze na pewno się zejść z kilkoma znajomymi — i „zabić“ parę godzin, czytając dzienniki — to czytelnia. Ale jakże zmieniona, tak tu jakoś cicho, tak pusto, w sali, gdzie gazety, ledwie jeden, przy biórku dyżurnych gwarzy dwóch lub trzech (między którymi na pewno dyżurnego nie ma), w sali bilardowej poziewając siedzi jeszcze ze dwóch nad szachami, a jakiś zwolennik gry bilardowej, trąca leniwie kijem bile, toczące się po wybielałem od słońca suknie, i czeka daremnie na partnera.

Pusto, cicho i nudno, czasu wiele do refleksyi i rozmyślań, a rozmyślania mimowoli niewesołe. Ot i teraz, gdy patrzę na te milczące czytelni ściany, stają mi na oczaczach niedawne czasy, a tak różne od obecnej chwili. Ledwie pół roku upłynęło, a ileż zmian przez te kilka miesięcy przeszło nasze akademickie życie. Są one ciekawe i pouczające i warto zaprawdę nad niemi się zastanowić.

Ubiegłe półrocze długo będzie pamiętne w kronice czytelni naszej. Zaczęte gwarnie, gorączkowem prawie życiem tryskające z początku, zakończyło się jakąś dziwnie smutną apatyą i martwotą, której nie same ferye były przyczyną, bo już przed niemi na spory kawałek czasu panował tu spokój, drzemki albo strach. Początek tego półrocza zdawał się zaczynać nową erę w naszem umysłowem życiu. Już poprzednio dowiedziała się publiczność Krakowa poraz pierwszy z ust przewodniczącego naszego, że młodzież naprawdę myśli i czuje, i pamięta o tem, że uniwersytet ma nietylko robić z niej prawników, medyków lub filozofów, ale przedewszystkiem ludzi i obywateli, że ta młodzież ślęcząca nad skryptami w ciężkiej często walce o chleb codzienny wytworzyła sobie nowe ideały, i czuje to dobrze, że drogi stare jej nie wystarczą i nowemi za resztą cywilizowanego świata pójść musi, choćby jej samej przyszło je wydeptać. Około przewodniczącego skupiła się znaczna część myślących, przekonania zarysowały się, dwa stronnictwa ścierające się dotąd bezwiednie, stanęły świadomie do walki.

Młodzież pozostawiona dotąd samej sobie, bez przewodników, bo u nas wszyscy na „teraźniejszą młodzież“ wygadywać umieją, ale nikt do niej się nie zbliży, przyuczyła się albo ślepo *jurare in verba magistri*, i powtarzać wszystko „za starszemi“, lub też z ciężkim trudem i mozołem musiała zdobywać sobie sama nowe ideały i przekonania.

Biegły ku nim myśli wszystkich, którym duszno było w téj zapleśniałej starością i „tradycyą“ atmosferze panującej u nas wszechwładnie, wszystkich, którzy zastanawiając się nad współczesnym ruchem umysłowych Europy widzieli jaka przepaść nas od nowszych pojęć dzieli, jak dalekimi jesteśmy choćby od braci naszych w Warszawie, których przekonań wyrazem jest „Prawda“, albo „Przegląd tygodniowy“.

Grunt był zatem dawno przygotowany, kilka zewnętrznych potrąceń wystarczyło, by ruch wystąpił w całej pełni. Posypały się odczyty, rozprawiano, czytano, kłócono się, aż wreszcie rzucono śmiało przeciwnikom w twarz słowa przez usta prezesa czytelni: „my inni od was — drogi nasze rozchodzą się“. Słowa te były hasłem dla nieprzyjaciół naszych do walki, nie równą jednak bronią mieliśmy walczyć ze sobą. Garstka młodych ludzi, zbrojna tylko dobrą wiarą. i zapałem po jednej stronie — z drugiej apodyktycznie narzucająca się powaga tradycyi, brak wyrozumiałości, zapamiętałość i potwarz płynąca często z nieznajomości rzeczy.

Na samym wstępie pomówiono nas o brak patryotyzmu. „Przyszłość“ czcigodny „Czas“ nazwał organem „studentów nihilistów“ a liberalna „Gazeta Krakowska“ pomieszała nas z „Robotnikiem“ i to nie bez umysłu.

„Towarzystwo“ i publiczność przyzwyczajona do młodzieży w eleganckich tużurkach, w najmodniejszych krawatach udającej Lovelasów, a rozprawiającej tylko o balach, rautach i ploteczkach nie mogła przyjść do siebie z zadziwienia, że ta potulna dotąd młodzież, mogła o czemś innem myśleć jak o „karyerze“, wiedzieć coś więcej jak to „co w skryptach stoi“, tem więcej, że cała część téj młodzieży jej dobrze znana, wszyscy ci „tak mili, grzeczni, eleganccy chłopcy“, wszyscy ci, co „przyzwoite nazwiska“ noszą, nie mieszała się do tych studeckich krzyków, uważając to albo za kompletny „*mauvais genre*“, albo też stojąc w dzielnej opozycyi przeciw „socyalistom“. Bo mój Boże, któż tym wygodnym epitetem teraz nie jest obdarzony, urzędownie raczy się nim „Przyszłość“ i Czarnomskich. Z kazalnicy, jakiś klecha w Oświęcimie głosi,

że całe Towarzystwo oświaty ludowej z socyalistów się składa, a jakiś „narwany“ pan hrabia w publicznym liście mieni socyalistami wszystkich bez wyjątku chłopów, księży i obywateli, którzy za nim głosować nie chcieli. Narobili nasi najserdeczniejsi tyle krzyku i wrzawy, że nawet spokojni o losy „poczciwej“ młodzieży profesorowie nasi, których mieliśmy przyjemność znać tylko z wykładów, przybyli raz i drugi do czytelni, by się przekonać, czy to naprawdę posiedzenia i wieczorki nasze zmieniają się w obrady drugiego internacyonału.

Tak strasznego nic nie znaleźli, przytarli troszkę rogów zuchwalcom, śmiącym mówić o pozytywizmie, dali nam naukę moralną, dającą się wypowiedzieć słowami Rodocia:

„Starszy mówi „tyś pijany“
Basta — idź spać mój kochany
To nikogo nie obraża —
Młodszyś — rozum do szuflady
Aż wyjdziesz na konsyliarza
A tymczasem żadnej zwady“.

Odwiedziny te, na każdy sposób miłe i zaszczytne dla nas, miały jednak cechę... jakiejś jakby kontroli, rozciągniętej na niespokojne umysły, a nie cechę ojcowskiego zbliżenia się, i dlatego nie miały większych skutków — nasi przyjaciele pouczyli jednak „królowę opinię“ inaczej. Opowiadano sobie, jakto my wyciągniętą ku nam dłoń mistrzów odepchnęli niegodnie, naumyślnie, jak „wyzywającem i głupiem“ było całe zachowanie się postępowców wobec profesorów, a szczególniej trafiało to oskarżenie naszego przewodniczącego, że „zręcznemi sposobami, między „któremi wielką rolę grało ignorowanie profesorów skoro ci przyszli na zebranie, pozbył się ich“. Te wyrazy przynajmniej powtarzane po mieście w daleko ostrzejszej formie, znalazłem niedawno w korespondencyi lipcowej z Krakowa do „Gazety Polskiej“ w Warszawie, której autor, wyznać to trzeba dość bezstronnym być się starał. Nie dziwimy mu się jednak, bo widno z innego ustępu tej korespondencyi, jaką to część młodzieży on znał i skąd informacye czerpał. Mówi tam, żaląc się słusznie, że młodzież zbyt wiele wyciera, salony, że w nich traci indywidualność i chęć do pracy.

Szkoda jednak, że szan. korespondent znał tylko naszych salonowych kolegów, którzy nic wspólnego z nami i z naszym prezesem nie mają i mieć nie chcą. O! oni wcale nie należą do „teoretycznych pozytywistów“ ograniczając się w praktyce tylko do pozytywnych wiadomości o posagach i wysokości korków panien, którym składają swe hołdy. Zarzut podobny nawet od największego ale prawdomownego nieprzyjaciela nie mógł spotkać przewodniczącego. Jeśli jako pozytywista występuje i walczy przeciw zatęchłym tradycyom, to pewno nie przeciw tradycyi naszej starej gościnności, która wraz z prostą przyzwoitością nie pozwoliła, by mu „ignorować“ przybyłych, jako goście profesorów. Powtóre każdemu, co zna nasze zebrania, jasnem być musi, że takie ignorowanie“ ze strony prezesa jest wprost niemożliwe, chybaby wszyscy zebrani kogoś ignorować chcieli, a na to zbyt szanuje młodzież swych profesorów.

Szkoda, że tym razem nie możemy pójść za przykładem starszych, którzy tak rozwielmożnione towarzystwo „wzajemnej admiracyi“ założyli w naszym grodzie, że prywatne stosunki i inne względy nie pozwalają nam mówić o kol. Pawlikowskim i wyliczać jego zasług dla rozwoju czytelni i życia akademików, bo moglibyśmy z łatwością „f a k t a m i“ zamknąć usta przeciwnikom. Można się nie zgadzać z jego zapatrywaniami, można je potępiać, ale pamiętać trzeba, że one są przekonaniami większości, która go przewodniczącym obrała, że głosząc je wyrządzą nietylko swoim ale i przeciwnikom przysługę, zwracając ich uwagę na grożące niebezpieczeństwo“. A na to trzeba u nas niemałej cywilnej odwagi.

Na cóż zresztą powtarzać wszystkie fałsze, które o nim i o nas po całem mieście szeptano. Dość powiedzieć, że nawet „Djabeł“, który uchodził zawsze za „ultra postępowego“ wybrał nas sobie za cel zjadliwych pocisków, rzucanych nader gorliwie, ale chybiających celu, bo żaden nawet pozorem prawdy dotknąć nas nie mógł.

Wszystko, od bogobojnych dewotek aż do miejscowych liberałów, dla których wyraz „republikanin“ stanowi już „najokropniejszą okropność“, stanęło przeciw garstce młodzieży. Pozytywizm toć to coś niebywałego, strasznego, n i e z g o d n e g o z d u c h e m n a r o d u (! sic), pozytywizm, wszak to o nim tak pięknie powiedział ksiądz rektor, że „pcha brudną czarę rozkoszy do ręki młodzieży“, „że prowadzi do socyalizmu, Molocha, pożerającego własne dzieci“. Nie — nasza poczciwa młodzież niezdolna do takich okropności, to „import zagraniczny“ zawołały powagi. „Trzeba wytępić tę truciznę“ rzekła wszechwładna figura i zabrano się do wytępiania.

Ci, którzy zawsze byli najgorliwszymi do gaszenia każdej iskierki patryotycznego uczucia i zapału w naszej piersi, przemawiali teraz w imieniu zagrożonej Ojczyzny, którą gubi nasz pozytywizm i „socyalizm“, bo zresztą u nich to identyczne. Wobec takiej gorliwości ze strony publiczności, policyi i dzienników, zapanowała panika reakcyi, bano się nawet odezwać, zobojętniono na wszystko tak dalece, że nawet sprawa oświaty ludu budząca dawniej tak żarliwe debaty, nie zdołała nikogo zainteresować, na ostatniem zebraniu walnem jej członków było aż... kilkunastu akademików. Naturalnie życie w czytelni zamarło, rozprawy i odczyty poszły w kąt przed groźnem widmem socyalizmu i policaja, młodzież wróciła do porządku, stała się dawną „poczciwą, kochaną młodzieżą“.

Jedna „Przyszłość“ jakby cudem przetrwała długie cztery miesiące reakcyi i zastoju. Biedaczka opuszczona przez wszystkich, mierzona podejrzliwemi lub nienawistnemi oczami ciężkie przebyła chwile. A może... utrzymała się za moskiewskie pieniądze, bo Przyszłością sam Apuchtin bardzo się raduje... Takie jest przynajmniej prywatne zdanie jednego... z posłów naszych i tak podobno opowiadają nasi najserdeczniejsi wierzącym duszyczkom.

Czy to jednak koniec ta cisza, ta martwota. Ufajmy, że tak smutno nie będzie. Za półtora miesiąca zaludni się pusty lokal czytelni dawnymi i nowymi członkami. Oby wraz z nimi nowe życie wróciło. My przynajmniej wytężymy wszystkie siły, by nie popaść w dawną drzemkę i indyferentyzm duchowy. Niejeden kamień potępienia padnie na nas z góry, niejedna strzała rzucona z za płota aż w sercu zaboli, ale wierzymy w postęp i prawdę, wierzymy, że pierzchną powoli uprzedzenia, a potwarz wtedy próżno wysilać się będzie.

Z Wrocławia.

Sprawozdanie z czynności „Kółka towarzyskiego akademików wrocławskich narodowości polskiej“, w półroczu letniem 1883 r.

Ubiegłe półrocze było dla „Kółka towarzyskiego“ tak co do liczby członków jak i rozwoju wewnętrznego jednem z najpomyślniejszych.

Z początkiem ostatniego semestru należało do „Kółka tow.“ 43 członków. W ciągu semestru wystąpiło członków 8 a przybyło 18. Obecnie więc liczy „Kółko tow.“ 53 członków.

Posiedzeń odbyło się ogółem 10, z tych 8 zwyczajnych, jedno nadzwyczajne, jedno walne. Obecnych osób na każdem zwyczajnem posiedzeniu było zwykle przeszło 60. Zaznaczyć tu wypada, że jak w innych semestrach, tak i w ostatnim doznało „Kółko tow.“ ze strony publiczności polskiej niejednokrotnie dowodów szczerej sympatyi, tak, iż liczba zgromadzonych gości przechodziła czasem 20.

W pierwszych dniach czerwca wysłało „Kółko“ na ręce uczniów krakowskiej szkoły sztuk pięknych adres do Jana Matejki, mający na celu uczczenie 25cio-letniej działalności wielkiego mistrza.

Dnia 16 czerwca odbyło „Kółko“ w sali humanitetu uroczyste posiedzenie ku uczczeniu 15-letniej rocznicy założenia Towarzystwa. Współudział gości i członków był nader liczny, gdyż liczba zebranych osób wynosiła przeszło 100. Do podniesienia uroczystości przyczynili się przedewszystkiem pp. Bobiński, Pankiewicz, Noskowski, dyrektor „Tow. muzycznego warszawskiego“ — za co „Kółko“ żywą dla nich zachowało wdzięczność Obchód ostatniej rocznicy głęboko zostanie w pamięci każdego z członków Koła naszego, gdyż piosnka ułożona umyślnie dla uczczenia dnia uroczystego, stała się jedną z najpopularniejszych w zbiorze choralnych śpiewów wrocławskich akademików. Dnia 7 lipca urządziło „Kółko“ wspólną wycieczkę do Fürstensteinu, która mimo chwilowej niepogody wypadła ku zadowoleniu wszystkich uczestniczących.

Do czytelni „Kółka“ nadchodziły w ubiegłem półroczu następujące pisma: Prawda, Tygodnik illustrowany, Biesiada literacka, Ateneum, Przyszłość, Przegląd akademicki, Warta, Oświata, Dziennik Poznański, Kuryer Poznański, Goniec Wielkopolski, Gazeta Toruńska, Nowa Reforma, Dziennik dla wszystkich, Polnische Correspondenz. Szanownym Redakcyom, które nam swe pisma przesyłały bezpłatnie lub za zniżoną cenę lub za opłatą portoryum składamy niniejszem za łaskawe względy serdeczne podzięki. Szczerze też dziękujemy i gościom, którzy swą obecnością posiedzenia naszego Koła zaszczycać raczyli.

W skład zarządu w ubiegłem półroczu wchodzili: Stefan Łaszewski jako prezes, Feliks Fryze jako sekretarz, Józef Celichowski jako kasyer, Walenty Szafarkiewicz jako bibliotekarz, Władysław Dalbor i Jan Cichocki jako ławnicy.

Do zarządu przyszłego półrocza obrani zostali: Tadeusz Długołęcki jako prezes, Józef Celichowski jako sekretarz, Władysław Dalbor jako kasyer, Wincenty Tetzlaff i Jan Oświęcimski jako ławnicy.

Stefan Łaszewski, prezes. *Feliks Fryze,* sekretarz.

Z Rygi.

W sprawie korespondencyi z Rygi, drukowanej w jednym z poprzednich numerów „Przyszłości“, dostaliśmy list, w którym jeden z tamtejszych studentów robi niektóre sprostowania: „autor korespondencyi donosi czytelnikom, jakoby korporacya polska Arkonia z powodu pomyślnej koronacyi cesarza rosyjskiego urządziła korowód z pochodniami do tamtejszego gubernatora. Będąc sam studentem politechniki ryżskiej, czuję się w obowiązku fakt powyższy sprostować. Rzecz miała się tak, że nie Arkonia sama, z własnej inicyatywy urządziła ów korowód, lecz cała studenterya ryżska. Arkonia jako część składowa owej studenteryi była zmuszona przyjąć udział w tej uroczystości pod groźą nieodwołalnego rozwiązania. Nie miał więc słuszności ów korespondent przytaczając fakt jako patryotyzm polski i lojalność studentów cesarstwie, była to konieczność i nic więcej“.

Sprostowanie powyższe umieszczamy z wielką radością. Podobna wiadomość nie może nas nie cieszyć i wyrażamy nasze ubolewanie nad chwilowym zarzutem, jakiemu mimowoli ulegli nasi rodacy — studenci z Rygi. Nie nasza w tem wina lecz korespondenta, za którego w całej rozciągłości odpowiadać nie możemy.

NOWINY.

Józef Ignacy Kraszewski został wypuszczony na wolną stopę z moabickiego więzienia śledczego za złożeniem poręki 30.000 marek. Obecnie sędziwy pisarz znalazł w swej willi drezdeńskiej upragniony spokój. Cała prasa polska bez wyjątku cieszy się szczerze z tego obrotu rzeczy, bo uwolnienie dozwala przypuszczać, że i wynik rozprawy głównej nie będzie tak groźny, jak się zrazu powszechnie obawiano.

W Chodoulicach i Trzebienicach, w okolicy, którą niemieccy mieszkańcy zowią Kerndeutsch obchodzili Czesi uroczyście odsłonięcie tablicy pamiątkowej dla Józefa V. Vlasaka (urodzonego 1802 w Chodoulicach a zmarłego 1871 w Lutomierzycach), zacnego nauczyciela i autora wielu gawęd, oraz podań historycznych dla ludu czeskiego. Uprawiając język narodowy i szerząc doń zamiłowanie w tym czasie, o którym Czelakowsky pisze, że wyrywają nam język, a wtłaczają swój (niemiecki), (nam vytryhuji jazyky a cpou nam svoje), niejednokrotnie był prześladowany.

Męża tego, który ze słabych iskierek niezmordowaną pracą rozdmuchiwał płomień narodowy, uczcił wdzięczny naród czeski wspaniale dnia 15 lipca, ale stokroć trwalszy pomnik jego działania daje statystyka szkół ludowych i oświaty w Czechach.

Władysław Ludwik Anczyc zmarł w mieście naszem dnia 28 lipca. Łącząc się do powszechnego żalu, jaki prasa polska jednogłośnie wyraziła, oddajemy mu cześć jako zasłużonemu pisarzowi dla dzieci, dla których stworzył prawie literaturę podróżniczą, oraz jako pisarzowi, który jeden z pierwszych przyłożył realistyczną miarę do ludu naszego i kierunek ten zaznaczył kilkoma cennymi utworami.

Wbrew przysłowiu: „czego zanadto...“ Apuchtin zaczyna rozbijać się znów po Warszawie.

Nowe pismo pod tytułem *Wiestnik narodnij wolji*, zamierzają wydawać w Genewie znani przedstawiciele rewolucyjnej partyi rosyjskiej, Tichomirow i Ławrow. Prospekt pojawił się niedawno.

„Różowe Domino“ opowiada następującą anegdotkę:

— Jak możecie przyjmować do waszego zakonu tylu głupców? — pytał ktoś pewnego Jezuity.

— Potrzeba nam koniecznie świętych! — odparł uśmiechając się dyplomatycznie Jezuita.

„Przegląd Czerniowiecki“, dwutygodnik, pojawił się dnia 8 sierpnia. Ma on formę i charakter codziennego pisma a odznacza się starannem opracowaniem oraz obfitą treścią. Nie jesteśmy w stanie wydać sądu z jednego numeru, który obok wielu stron dodatnich i zalecających jest trochę... niewyraźny.

Korzystając z pory wakacyjnej wielu z kolegów i braci naszych, uczniów zakładów naukowych warszawskich i petersburgskich odwiedziło miasto nasze, zawiązując w tutejszych kołach młodzieży serdeczne stosunki. Cieszymy się mocno, bo tylko przez takie, choćby sporadyczne odwiedziny, może umocnić się łączność nasza i wspólność drogich zadań ojczystych.

Na miejsce prof. dra Kasparka, który zrzekł się opieki nad czytelnią akademicką, kuratorem został przez senat wybrany dr. prof. Stanisław Smolka.

Minister spraw wewnętrznych reskryptem z dnia 22 lipca 1883 roku nie uwzględnił prośby młodzieży akademickiej krakowskiej o pozwolenie zbierania składek na Teatr polski w Poznaniu.

Szczególny zabytek. Pewien Anglik zdołał ukraść w Arabii starożytny rękopis „Pięcioksiągu Mojżesza“, sięgający, według zdania znawców, 960 lat przed Chrystusem. Zawiera on dość znaczną ilość różnic od tekstu powszechnie przyjętego (np. pierwsze dwa przykazania połączone są w jedno, z dodatkiem: „nie będziesz nienawidził brata w sercu swojem“). Posiadacz żąda 30,000, a jak inne gazety donoszą, 30,000.000 franków.

Ciekawa agitacya. „Nowa Reforma“ donosi, że pewna część duchowieństwa katolickiego w Galicyi występuje z zaciekłością przeciw towarzystwu oświaty ludowej. Dziennik krakowski na poparcie swych słów przytacza wyjątek z kazania pewnego „zacnego kapłana“ w Oświecimie:

„Wy jednak wszyscy, którzybyście chcieli dostąpić odpustu, a macie niewypełnić wszystkich przepisanych modlitw i dobrych uczynków, idźcie zaraz na plebanię i każcie się wypisać z książki wpisanych do szkaplerza Matki boskiej, a każcie się raczej wpisać do oświaty ludowej, do liberałów farmazonów, komunistów itd.“

Nie ma się czemu tak bardzo dziwić, duchowieństwo wstępuje tylko w ślady swego zwierzchnika, ks. biskupa Dunajewskiego.

Karność szkolna. „Prawitelstwiennyj Wiestnik“ zamieszcza cyrkularz ministra oświaty do kuratorów, zaznaczający, że w 13 gimnazyach, 1 progimnazyum i 10 szkołach realnych zdarzyły się wypadki świadczące o wpływie na młodzież rewolucyjnej propagandy a w 14 gimnazyach i 4 szkołach realnych miały miejsce zbiorowe nieporządki. Oprócz tego zauważono, że w wielu miejscowościach uczniowie zachowują się nader nieprzyzwoicie. Z faktów tych wynika, że główną przyczyną złego jest osłabienie kontroli i nieprzestrzeganie przez władze karności szkolnej. W celu zapobieżenia na przyszłość podobnym objawom ministeryum zaleca podwładnym organom ścisłe trzymanie się wydanych poprzednio przepisów i baczne zwracanie uwagi nietylko na postępy w naukach, lecz i na sprawowanie młodzieży.

NOWE KSIĄŻKI.

Pypin A. N. & Spasovic V. D. Geschichte der slavischen Literaturen.... übertragen von Traugott Pech. — Leipzig, 1883.

Rostafiński Józef. O zbieraniu nazw ludowych i użytków roślin. Kraków, 1883.

Traciński Hans Beiträge zur Lehre vom Aderhautsarkom. Berlin.

Ulanowski Adam st. uniw. Jagell. Z fauny... Inflant. (Odbitka sprawozdań Akad. Um. krak.). 1883.

Wilczyński Albert. Galerya Dyletantów. Warszawa, 1883.

Zaborowski. O początku mowy. Z francuskiego tłomaczył I. Chodorowicz. Warszawa, 1883.

Żuliński Tadeusz. Ruch mięśniowy i wpływ jego na zdrowie człowieka. Lwów, 1883.

Odpowiedź Redakcyi.

Julkowi. Artykuł pański przypomina nam pannę w kapeluszu, o której ktoś powiedział, że gdyby sobie sprawiła inny kapelusz, a ten kapelusz, gdyby sobie sprawił inną pannę, toby była bardzo piękna.

P. F. Z. w P. Dziękujemy, ale teraz nie potrzeba.

Teo. i Mar. J. w Li. Prof. Cz. wyjechał na wieś. Za nadesłany artykuł dziękujemy serdecznie.

Szanownych czytelników zawiadamiamy, że z powodu feryj wakacyjnych numer dnia 1 września nie wyjdzie, lecz dopiero w biegu miesiąca wydamy numer powiększony.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: **Dr. Jan Jodłowski.** — Drukarnia Związkowa w Krakowie. Zarządca A. Szyjewski.